



K.C. Hiddenstorm

PO ZŁEJ STRONIE LUSTRA

K. C. Hiddenstorm

**PO ZŁEJ
STRONIE
LUSTRA**

© Copyright by K. C. Hiddenstorm & e-bookowo

Projekt okładki: Karolina Mikołajczuk

ISBN e-book 978-83-7859-815-2

ISBN druk 978-83-7859-816-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2017

Spis treści

Prolog

Wstęp do szaleństwa.

Głosy w głowie i pytania o wszechświat • 7

Akt pierwszy

Lisa • 11

Akt drugi

Obłąd • 111

Akt trzeci

Wybór • 279

Epilog

Króliczek po właściwej

stronie lustra • 455

Jest niedobrze. Próbowałem spać przez ostatnie pół godziny i nie mogłem (...) Tego popołudnia czytałem to, co napisałem... I to wydawało mi się żywe. Wiem, że wydaje się żywe, bo moja wyobraźnia uzupełnia to drobiazgami, których inna osoba nie potrafiłaby zrozumieć. Chciałem powiedzieć, że to próżność. Ale to wygląda również jak jakieś czary... A ja po prostu nie mogę żyć w tej terażniejszości. Oszalałbym, gdybym w niej żył.

John Fowles „Kolekcjoner”

Kto ukrywa własne szaleństwo, umiera niemy.

Henri Michaux

Prolog

Wstęp do szaleństwa. Głosy w głowie i pytania o wszechświat

Budząc się razu pewnego, dręczona upiornymi głosami, nie mogłam się całkiem rozbudzić, ani też na powrót zapaść w sen. Krzyczały niespójnie już od wielu dni, a ja patrzyłam bezsilnie, jak mój umysł mąci się i popada w mrok, nie potrafiąc rozróżnić ułudy od rzeczywistości.

A gdy zmusiłam głosy w mojej głowie, by zaprzestały chaotycznych i nieskładnych wrzasków, te, o dziwo, usłuchały mnie i połączyły siły. *Jeśli tego właśnie chcesz!* – wykrzyknęły strwożone i jako jeden zwarty chór poczęły opowiadać mi wspólną historię...

Możliwe, że istnieją równoległe światy...

Możliwe, że istnieje życie po życiu...

Możliwe, że przeżywamy jedno i to samo życie setki razy...

Możliwe też, że jedno i to samo życie przeżywamy raz za razem, lecz na nieskończenie wiele sposobów...

A jeśli raz na setki lat nastąpi anomalia i jedna osoba wiedzie równoległe dwa życia, które zaczynają się przeplatać i zapętlać?

Czy ma to jakieś skutki dla porządku wszechświata, czy raczej przechodzi bez echa, zatracone w bezkresie istnień i mnogości światów?

Jakie mogą być konsekwencje dla dotkniętej tym zjawiskiem jednostki?

Co czuje osoba, przed którą opadła kurtyna skrywająca tajemnice wszechistnienia?

Czymże jest więc rzeczywistość?

A czym wobec tego jest fikcja?

Czy można jednoznacznie odróżnić prawdę od iluzji?

A może nie ma prawdy, bo wszystko jest iluzją, lub może nie ma iluzji, bo prawd jest nieskończenie wiele?

Czy coś przestaje istnieć tylko dlatego, że spychamy to w nicość naszego umysłu, czy też trwa po kres czasu, ściągając nas w mrok?

Czym więc jest szaleństwo, jeżeli rozsądek nie istnieje?

Czy szaleńcem jest ten, kto zobaczył, jak wygląda świat po drugiej stronie lustra i nie bał się o tym głośno powiedzieć, czy raczej ten, kto go za tę wiarę zamknął?

Skąd w ludzkiej rasie to usilna, zakorzeniona niemal u podstaw człowieczeństwa potrzeba, by objąć rozumem wszystko wokoło, a to, czego nie zdoła, strącać w niebyt i deprecjonować?

Dlaczego boimy się tego, co inne, nieznanne i niewyjaśnione?

Dlaczego tak chętnie przyklaskujemy racji ogółu, a odszczepieńców skazujemy na potępienie?

Oto historia oblędu, prawdy, utraconych nadziei i upadku. To opowieść o początku zwiastującym koniec i rozpaczliwym końcu będącym początkiem jeszcze większego koszmaru... A może to nic więcej aniżeli sen szaleńca, w który ktoś desperacko pragnął uwierzyć?

Śmiało, przekonaj się o tym osobiście.

Jeśli tylko starczy ci odwagi...

Akt pierwszy

Lisa

- Au, coś ty?! A to za co to?!*
 - Nie ma znaczenia. To już przeszłość.*
 - Ale boli nadal.*
 - O tak... Przeszłość często boli...*
- „Król Lew”*

*Wszelkie nasze złudzenia są tylko wizjami odległej,
niedosiężnej prawdy niejasno dostrzegalnej.*

Joseph Conrad

1.

(króliczku...)

Znów była w parku. Znów miała pięć lat. Znów miała ten sen.

Mała Lisa biegła wesoło, goniąc za kolorowym motylem, śmiejąc się radośnie i wykrzykując raz po raz: Mocilek! Jej poczynaniom przyglądał się uśmiechnięty ojciec siedzący na ławce kilka jardów dalej; trzymana do góry nogami gazeta oraz czujne spojrzenie upodabniały go do niewydarzonego agenta FBI, który próbuje udawać Zwyczajnego Obywatela, tylko nie do końca wie, jak się do tego zabrać.

– Ostrożnie, króliczku – pouczył troskliwie.

Zbyt zaafetowana pogonią za motylem Lisa nawet się nie obejrzała. Ze spojrzeniem utkwionym w jego wielobarwnych skrzydełkach pędziła za nim... i naraz jej nóżki – wciąż dość niezdarne – zaplątały się o siebie, a ona zachwiała się niebezpiecznie, machając rękami niby pisklę uczące się latać. Widząc to, przera-

żony ojciec poderwał się z miejsca i pędem ruszył w jej stronę, z narastającą paniką uświadamiając sobie, że głowa jego ukochanej córeczki zmierza wprost na spotkanie z drewnianą ławką. O Jezusie, nie! – zakrzyknął w duchu i rzucił się w jej stronę jak baseballista próbujący zdobyć bazę.

Niestety...

Spóźnił się o ułamek sekundy.

Lisa wyróżnęła twarzą o siedzenie ławki z tak wielkim impetem, że aż zadzwoniło jej w uszach, a w odpowiedzi na towarzyszący uderzeniu oślepiający rozbrzyśk bólu z jej piersi wyrwał się rozdzierający płacz. Niech to nie będzie nic poważnego. Proszę, Boże, niech to nie będzie nic poważnego – jęknął poblady ze strachu David i ostrożnie schwycił zanoszącą się szlochcem córeczkę, odpędzając od siebie sugestywne wizje jej zmasakrowanej buzi ochoczo podsuwane mu przez zdradziecki umysł.

Obracając ją ku sobie, ze zgrozą zauważył, że dolna połowa jej twarzy pokryta jest krwią. Skrzywił się mimowolnie i mocno przytulił Lisę, która nie płakała już, lecz darła się jak opętana. Nie umknęło jego uwadze, że walęsający się po parku ludzie poczynają odwracać głowy w ich kierunku z typowym w takich sytuacjach niezdrowym zainteresowaniem, które w myślach zwykł był nazywać Syndromem Wścibskiej Ciotki

i miał ochotę powiedzieć gapiom parę uprzejmych słów, jednakże teraz najważniejsza była jego malutka córeczka, toteż skupił się tylko i wyłącznie na niej.

– Ciii – wyszeptał jej wprost od ucha. – Wszystko będzie dobrze.

Lisa za nic miała te zapewnienia; wciąż płakała szmatycznie, wrzeszcząc, jakby obdzierano ją ze skóry. Zatraskany David pogładził ją po ciemnych włosach zaplecionych w dwa warkoczyki i delikatnie ujął za ramiona, odsuwając tak, by ich spojrzenia się spotkały.

– Ciii, nie płacz – powiedział miękko, patrząc głęboko w jej (równie zielone i równie ogromne co jego własne) oczy. – Wszystko będzie dobrze. Już nigdy więcej nie pozwolę ci upaść, króliczku, obiecuję – dokończył, całując ją w czubek noska.

2.

(króliczku...)

Lisa usiadła na łóżku, odrzucając kołdrę; jak to się często zdarzało, tak i tym razem pragnienie zbudziło ją ze snu. Spojrzała na elektroniczny zegarek na nocnej

szafce, bezwiednie dotykając blizny nad górną wargą – zielone fluorescencyjne cyfry pokazywały wpół do czwartej rano. *Szlag* – pomyślała, krzywiąc się i poszła do łazienki, by nalać sobie szklankę wody.

Kładąc się z powrotem do łóżka, zastanawiała się, co też jej się śniło, jednak nadaremnie – sen rozwiął się i uleciał daleko, gdy tylko otworzyła oczy.

I tak było dobrze.

Bardzo dobrze.

Bo ten sen oznaczał ból.

Opatuliwszy się kołdrą, raz jeszcze musnęła bliznę nieświadomym gestem, którego nie rejestrował umysł, następnie zamknęła oczy i niemal natychmiast zapadła w sen.

(Już nigdy więcej nie pozwolę ci upaść)

3.

Dzień wlewał się przez okna wzorem wlewanego do foremki ciasta. Zbudzona ciepłą jasnością Lisa przeciągnęła się leniwie na ogromnym łóżku, a gdy wyjrzała przez panoramiczne okno, w jej głowie niby komunikat radiowy rozbrzmiały słowa matki: *Tylko w Kalifornii*

słońce potrafi tak świecić, skarbie. Uśmiechając się do własnych myśli, spuściła bose stopy na podłogę i poszła na dół, do kuchni, zaparzyć sobie kawę. Mocną. *Pierwszy kubek kawy zawsze musi być mocny* – z takiego założenia wychodziła Lisa Johnson, co, jak przypuszczała, mogło być jednym z wielu czynników, które zafundują jej zawał, zanim dobije czterdziestki, ale gwizdała na to. *Żyj tak, jakbyś miał umrzeć dziś* – powiedział James Dean, a ona uważała, że coś w tym jest.

Mijając salon, włączyła muzykę; z głośników popływały leniwe dźwięki, do których dołączył niski, melancholijny głos Lizzy Grant – znanej szerszej publiczności jako Lana Del Rey – ironicznie zapewniającej, iż pragnie pieniędzy, władzy, chwały. *Kiedyś też wydawało mi się, że tego właśnie chcę* – mruknęła Lisa pod nosem. Podśpiewując „alleluja” do wtóru piosence, wkroczyła do kuchni tanecznym krokiem, zdmuchując z czoła niesforny kosmyk włosów i wtem przypomniał jej się komentarz przyjaciółki, która z pewnym rozbawieniem stwierdziła: *Zawsze w jakiś sposób utożsamiasz się z tekstem piosenki, której słuchasz, co uważam za chore. Sugeruje to, że albo jesteś skończoną egocentryczką, albo masz coś nie tak pod sufitem, zdajesz sobie z tego sprawę?*, a Lisa odburknęła wówczas, iż prawdopodobnie to drugie.

Cóż...

Choć o tym nie wiedziała, już niebawem miała bardzo dotkliwie przekonać się, co znaczy „mieć coś nie tak pod sufitem”.

4.

Wychodząc na ulicę i wciągając w nozdrza słodkawy zapach powietrza, uznała, iż jest to naprawdę piękny czerwcowy poranek. *Piękny poranek w parszywym Los Angeles, które kocham nad życie* – pomyślała, a sprowokowane tą myślą, przez jej głowę przetoczyło się wspomnienie niedawnej rozmowy, jaką odbyła z Davidem Lynchem. *Kinematografia straciłaby wiele, gdybyś zamiast aktorką postanowiła zostać stomatologiem* – powiedział jej wtedy, na co ona odpowiedziała szczerym śmiechem, rumieniąc się po koniuszki uszu.

Były to święte słowa.

Lisa Arlette Johnson (drugiego imienia nigdy nie używała, gdyż szczerze nie cierpiała imienia „Arlette”, uważając je za dobre dla świrniętej staruchy lub kogoś w tym guście) była atrakcyjną, dwudziestodwuletnią aktorką z niemałym talentem i niewiele gorszym dorobkiem artystycznym. Aktorstwo traktowała

poważnie – było jej pasją, jej ucieczką od przeszłości, o której myśleć nie lubiła, jej sposobem na wyrażenie siebie. Nie *Sława* ją interesowała, lecz *Sztuka* i właśnie to świadczyło o jej wielkości i stanowiło o nietuzinkowości. Z nieprawdopodobną łatwością wcielała się w najprzeróżniejsze postaci, które odgrywała nad wyraz wiarygodnie (niestety, póki co, jej talent nie został nagrodzony Oscarem). Przeważnie wybierała wymagające role w ambitnych filmach (nie miała nic przeciwko superprodukcjom, chciała po prostu udowodnić, że ma do zaoferowania coś więcej niż tylko ładną buzię), a ludzie z branży chwalili sobie pracę z nią, jako że stroniła od skandali i tanich sensacji.

Natura wydawała się być dla niej nazbyt łaskawa – obdarowała ją szczupłą (jednak niepozobawioną ponętnych krągłości) figurą oraz piękną dziewczęcą twarzą, która pozwalała nieco oszukiwać metrykę, i za sprawą której przeciętni ludzie brali ją za młodszą niż faktycznie była (Lisa nie czuła się w obowiązku prostować tej nieścisłości). Włosy również należały do jej atutów – gęste, ciemne pukle opadały daleko za łopatki, żarząc się ognistym blaskiem rozpalanym przez promienie słońca. Jednakże kwintesencją czaru i zmysłowości Lisy Johnson były bez wątpienia jej kocie oczy – wielkie, zielone, błyszczące – obwiedzione długimi frankami czarnych rzęs. Były one dominującym ele-

mentem jej subtelnej twarzy skutecznie odwracającym uwagę od niewielkiej blizny znajdującej się nad górną wargą, którą z zapamiętaniem starali się zamaskować wszyscy charakteryzatorzy (*Jezu Chryste, zupełnie, jakby się zmówili* – poskarżyła się kiedyś w jednym z wywiadów). Blizna owa była pamiątką po zabawie w miejskim parku i bliższym niż byłoby to konieczne spotkaniu pięcioletniej wówczas Lisy z parkową ławką, co zaowocowało wizytą w szpitalu i założeniem kilku szwów.

5.

Pochłonięta myślami, leniwym krokiem zbliżała się do umówionej kafejki, *Silver Spoon*, aby mimo relatywnie wczesnej pory wlać w siebie już trzecią kawę i poplotkować z najlepszą przyjaciółką – Ann Waits. Niepomna upływających minut, co rusz przystawała, zadzierając głowę i spoglądała w niebo, ciesząc oczy widokiem przepływających po nim obłoków. *O, ta chmura wygląda jak biegnący pies* – orzekła, gdy wtem natarczywy dzwonek telefonu przywołał ją do rzeczywistości. Lisa zamrugła jak ktoś, komu pstryknięto palcami

przed twarzą, wyłowiła komórkę z kieszeni i zerknęła na wyświetlacz, co uświadomiło jej, iż dzwoni Ann.

– Właśnie o tobie myślałam – zaczęła pogodnie.

– Daj spokój z tymi pierdołami, Lisa! Gdzie ty jesteś?! – usłyszała w odpowiedzi. – Kelner lada chwila zacznie traktować mnie jak element wystroju tej cholernej knajpy!

Lisa skrzywiła się i odsunęła telefon od ucha; wrzasku Ann nie sposób było zaliczyć do przyjemnych dźwięków.

– Kelner nie pomyli cię z elementem wystroju, o ile nie czekasz na mnie w sex shopie – zadrwiła. – Nie stresuj się, Annie, jestem prawie na miejscu.

– W filmach tacy bezczelni ludzie jak ty zazwyczaj kończą marnie, wiesz? Przejeżdża ich samochód lub obrywają w głowę czymś ciężkim, ewentualnie spadają w przepaść – odcięła się Ann. – Jeśli nie będzie cię tu za pięć minut, wychodzę! Nie żartuję, słyszysz?! – dodała i rozłączyła się.

Niektórzy ludzie wierzą, iż nieodpowiednie słowa wypowiedziane w złą godzinę mogą się spełnić. Niewykluczone, że przyjaciółka Lisy stała się takim właśnie przypadkowym złym prorokiem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Lisa Johnson ma wszystko, o czym marzą przeciętni ludzie: urodę, sławę, bogactwo. Sielanka jednak kończy się w dniu, w którym ulega tajemniczemu wypadkowi na planie swojego najnowszego filmu. Po wyjściu ze szpitala doświadcza coraz częstszych omdleń oraz szeregu innych nieprzyjemnych dolegliwości... jak choćby wizyt w alternatywnej rzeczywistości. Jawa i sen zaczynają zacierać się coraz bardziej, a ona z przerażeniem uświadamia sobie, że zaczyna balansować na krawędzi obłądzenia. Podczas jednej z wizyt w równoległej rzeczywistości Lisa poznaje demoniczną Kobietę w Bieli, która składa jej propozycję nie do odrzucenia...

Po złej stronie lustra to nietuzinkowa powieść, wprowadzająca czytelnika w całkowicie inny wymiar literatury. Zostajemy sprawnie pozbawieni umysłowych barier, dzięki czemu nasza wyobraźnia unosi się znacznie wyżej, niż dotychczas. Po przeczytaniu tej książki miałam wrażenie, że byłam lustrem rozbitym na tysiąc kawałków, które nawet po sklejeniu nie stało się jednością. Polecam ją każdemu, kto pragnie oderwać się od rzeczywistości i poczuć ciężar prawdziwości tej powieści.

Aleksandra Szoć, recenzentka, pisarka, www.stanzaczytany.pl

Patroni medialni:

